



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

11. kwietnia 1915

Nr. 18.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy.

Prenumerata kwartalna . . K 2'50
Prenumerata półroczna . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12'50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.



Angielski rów strzelecki w okolicach kanału Yzery

Rowy te są ciągle zalewane przez wodę i dlatego muszą sobie Anglicy zadawać dużo pracy przez wyczerpywanie i pompowanie wody, aby móc dalej pozostać w rowach





Tureckie działo
w czasie transportu ku granicom Egiptu.



Z walk w Królestwie.
Patrol niemiecki na Łysej górze.

Z tygodnia.

Ósmy miesiąc krwawych zapasów dziejowych się kończy, a wielkich decydujących dla całego przebiegu wojny rezultatów jeszcze nie widać. Mieliliśmy niewątpliwie już cały szereg doniosłych, poniekąd przełomowych wypadków strategicznych jak na zachodzie pochód Niemców przez Belgię i Francję północną, bitwę nad Marną, bitwę nad Yserą, bitwę w Szampanii, na wschodzie zaś bitwę pod Tannenbergiem, zajęcie Lwowa przez Rosyan, walki pod Lipnem i Włocławkiem, bitwę na Mazurach, a ostatnio kapitulację, Przemyśla — ale całość tych klęsk lub zwycięstw nie przeważała jeszcze szali losów wojny na jedną lub drugą stronę tak, żeby już dziś jedno z mocarstw wojujących uznało się za pobite.

Podobnie jak na lądzie jest i na morzu położenie nierostrzygnięte. Główne części floty zarówno angielskiej jak niemieckiej trzymają się w rezerwie pod osłoną silnie ufortyfikowanych portów, ponieważ naczelnie dowództwo po jednej i drugiej stronie nie chce największych swych i najlepszych okrętów w tym okresie wojny już narażać na ryzyko zbyt wielkie. Potężna flota angielska ogranicza się do rozległej akcji strażującej, zapomocą której podcina handel zamorski Niemiec, dążąc do ogłodzenia Niemców, natomiast w cwałt za to niemieckie łodzie podwodne usiłują zadać jak największe szkody handlowi angielskiemu przez bezwzględne zatapianie angielskich parowców handlowych. Ale o ostatecznym rezultacie ani po tej ani po tamtej stronie jeszcze mówić nie można. Ani Niemcy nie uznają się za ogłodzone mimo pewnych braków w żywności, ani handel angielski nie został sparaliżowany mimo zatapiania poszczególnych parowców.

Czynom miecza usiłowała pomódz dyplomacya, szukając nowych czynników, któreby można rzucić na chwiałące się szale wojny. Zawiodły jednak dotychczas zarówno próby wciągnięcia państw neutralnych na stronę trójporozumienia, jak nie sprawdziły się przepowiednie o wielkiej wojnie świętej, która cały

świat mahometański poruszyć miała do walki z Anglią, Francją i Rosją.

Bardzo doniosły wpływ na stanowisko państw neutralnych może mieć akcyja francusko-angielska przeciwko Dardanelom, o ile uwieńczy ją skutek zamierzony. Dotychczas jednak dzieło sforsowania cieśniny nie zostało dokonane mimo dość znacznych nakładów państw sprzymierzonych. Zdaje się, że obecnie po dłuższej przerwie stoimy przed ponownym, w wzmożoną siłą prowadzonym atakiem na Dardanele. Trzeba odczekać, jaki będzie przebieg tej akcyi.

Jeden z ostatnich komunikatów donosi o nowym sukcesie w tym terenie, mianowicie o zdobyciu silnych stanowisk Rosyan na wschód od doliny Laborczy i o wzięciu do niewoli 7570 Rosyan.

Bitwa w Karpatach trwa dalej, przybierając coraz większe rozmiary. Znaczenie strategiczne tej bitwy stawia ją w pierwszym rzędzie wypadków bojowych w obecnej wojnie.

Wobec walk w Karpatach na drugi plan schodzi walka w północnem Królestwie, na pograniczu Prus Wschodnich. Ze strony niemieckiej chodzi tu o to, aby zabezpieczyć prowincję wschodnio-pruską od wtarzających się ciągle napadów wojsk rosyjskich. Na prawym brzegu Niemna, walki pod Taurogami skończyły się odwrotem Rosyan w kierunku na Skawd-wilje, które leżą na północny-wschód od Taurogów. Na lewym, południowym brzegu Niemna Rosyanie po walce między Augustynowem a Suwałkami cofnęli się na Sejny.



Walki we Francji.

Most wybudowany przez niemieckich pionierów ponad szerokimi bagnami.

Stracony liść.

Pomiędzy wypędzonymi przez nawałę Moskali u chodźcami w jednym ze schronisk siedział stary żyd; drżącą głowę oparł o wapienną ścianę, zmarszczone ręce na kiju położył i bez słowa wsłuchiwał się w otaczające go gwary.

Mało kiedy odezwał się słowem. Duszą bawił jeszcze w dalekich stronach; błakała się ona koło jego chałupki i zaliła się nad tem, co przeznaczone było na zagładę: nad starymi księgami po jego ojcu rabinie, nad srebrnymi lichtarzami i kurami, jego ukochanymi kurami i konikiem.

Powieki przymykały się mu i wargi kureczowo drgały na myśl o tych jedynych towarzyszach jego starego życia.

— Panie, błogosław im! Tyś jest sprawiedliwym i nie pozwolisz, aby te stworzenia, które mi były wierne i drogie, jako ludzie, miały nędznie zginąć.

— Skąd pan jest? — rzuciła pytanie jedna z mieszczek.

— Żyd z wygnania — przyszedł na inne wygnanie, odrzekł i spojrzął na nią szklannym wzrokiem.

— Czyż nie miał pan żadnych krewnych w domu? zapytała druga.

— Nie — nie, syn mój przepadł... już trzydzieści lat — został pajacem — precz — precz!

Ogarniał się nerwowo — jak gdyby chciał coś z siebie zrzucić.

— Chciał zapewne powiedzieć „aktorem“ objaśnił ktoś.

— Musi pan przecież mieć dalszych krewnych, badał jakiś młody mężczyzna.

— Mam! we Wiedniu! Ale to bardzo daleko! szeptał starzec.

— We Wiedniu? we Wiedniu? Przecież my jesteśmy we Wiedniu? Krzyczeli wszyscy naraz.

Stary zdziwiony, rozwarł szeroko oczy. A okrzyk szmerem po całej sali. Przeprowadzono jedną z pań z zarządu, której opowiedział stary dokładnie wszelkie dane co do swych krewnych we Wiedniu.

Podczas tego, gdy zarządczyni skrupulatnie notowała sobie na kartce — spoglądał na nią stary żyd nieufnie z pod ściągniętych brwi.

W dwa dni później, gdy stary jak zwykle siedział nieruchomo pod ścianą — wszedł do sali młody, elegancki pan, prowadzony przez tą samą panią z zarządu.

— Sam pan będzie mógł reszty się dowiedzieć — rzekła i pożegnawszy się, odeszła do swych prac.

Wytworny pan ze złotemi okularami schylił się nad starcem i rzekł:

— Podobieństwo już mi powiada, że szanowny pan należy do jednego ze starszych naszego rodu. Nazwisko moje jest: Maybaum, podobnie jak pańskie... — przerwał, wytrącony z równowagi dziwnem spojrzeniem starego.

— Proszę bardzo — niech pan będzie łaskaw pójść teraz do moich rodziców — wyobrażam sobie ich radość.

I podał starcowi swą rękę przystrojoną w jelonkowe rękawiczki, lecz ten nie chciał jej spozrzędz.

— Wybacz mi Boże, gdzie mam iść, jeżeli do mnie krewnego przemawia ktoś „panie?“

— Czyż mam mówić „Ty?“ zapytał się młody mężczyzna, przerwieniac się po same uszy — a więc chodź stary stryjeczku, pomówimy o wszystkim w domu.

Starzec powstał, namyślając się, przyjął podaną sobie rękę, i powoli wyszedł ze sali, mrużąc jakieś niezrozumiałe słowa.

Młody mężczyzna zawołał fiakra, pomógł staremu wsiąść i odjechali ku śródmieściu; wydostali się na plantacye — na miejsce, gdzie miasto rozwiera swe kamienne serce i pozwala swobodniej odetchnąć.

— Oto jest zamek cesarski! wskazywał młody mężczyzna. Starzec nic nie odrzekł.

— A to jest nasz parlament; czyż nie jest piękny? Starzec rzucił niechętnym wzrokiem.

— Piękny — piękny! może być, że jest piękny — ale poco? Zrobił przytem jak nieszczęśliwą minę, że młody o nic już nie pytał.

Dziwną była owa rodzina, do której los starca zapędził. Rozmawiali — cieszyli się — ale cieszyli się nie szczerze. Opowiadali, że są jego rodziną, że pochodzą z Tarnowa — ale przecież oni nie byli jego rodziną. Stary wnioskował to ze sposobu życia, jaki oni prowadzili. Każdy myślał tylko o sobie, wieczorem nie zasiadali wszyscy do wspólnej wieczerzy, córka krnąbrnie odpowiadała rodzicom lub też ironicznie się wysmiewała. Starzec siedział cicho w końcu stołu, a strawa dziwnie nie chciała przejść mu przez gardło.

Później zachodzi czasami syn rodziny do jego pokoiku, którego okno wychodziło na siemny dziedziniec.

— Jakże ci się powodzi, stryjeczku?

— A głowa starca trzęsa się nerwowo na pomarszczonej szyi. Z żalem mówił:

— Jakże ma mi się dobrze powodzić, kiedy chata moja gorze, a kury i mój konik padają z głodu.

Wkońcu przestał młody pytać się więcej.

Pewnego wieczora wyszedł starzec powoli ze swojej izdebki i błędząc, zaszedł do jakiegoś pokoju, którego nie znał. Nagle delectał go z sąsiedniego pokoju słowa:

— Nie, tak dalek być nie może — bo narażamy się na pośmiewisko. Radca dworu drwi sobie i tak z nas, a chociaż z powodu d'łbrego czynu nie potrzebujemy obawiać się dośmiewek, to jednak... — nie pozwolono córce skończyć.

— Żałuję, że starca tu przywiózł; w przytułku było mu lepiej, aniżeli u nas. Mówił to syn silnie podniesionym głosem.

— Nie opowiadaj głupstw. Ale w każdym razie tak dłużej trwać nie może. Musimy go wkupić do jakiegoś przytułku dla starców — mówiła matka również podniesionym głosem.

— Kupić! — wkupić — czyż ja jestem Krezusem — krzyczał stary. Przeklęte babskie zachcianki, filantropia. Latają, latają, robią dużo dobrego, a potem ja mam płacić!

Na te słowa otworzyły się drzwi i powoli wszedł starzec do środka, zatrzymał się, mówiąc:

— Wiecie co, posłuchajcie mojej opowieści. Wiedziałem raz cyrk — był tam człowiek w spodniach, w takich zielonych i przyniósł sobie piękną paczkę, postawił ją i robił tak, jakby się bardzo cieszył. Potem pokazywał komedię — nu, jak wy to wiecie — a gdy mu bili brawo, to się kłaniał na wszystkie strony, bardzo prędko — zgrabnie — a stojącą poza sobą paczkę kopnął i przewrócił! Tak samo jest z wami! Musicie się kłaniać Hofratowi a przyltem mnie kopniec! Dla tego ja sobie pójdę!

Ohrócił się i począł mruzczyć — zdechnę na ulicy — no to zdechnę.

— Nie pozwolono mu zaraz odejść. Zatrzymano go jeszcze dwa dni, poczem przyszedł syn i rzekł:

— Stryjeczku, pojedę z tobą do Pragi i umieszczę

cię w przytułku, gdzie pozostaniesz aż do końca wojny. Tam ci będzie lepiej!

I tak się stało.

Starzec był bardzo znużony i udreżony; spał prawie całą drogą. Młody mężczyzna był szczerze uradowany, gdy go nareszcie oddał do przytułku.

— Praga jest zajmującym, starym miastem; tu ci się będzie lepiej podobać, starał się pocieszać starca, lecz tenże spojrział tylko na otaczające go obrzydliwe budowle i rzekł:

— Za wiele jest kamieni na świecie.

Starzec pozostał przez parę dni w samotnym pokoju, nareszcie jednak poczęło go coś drażnić, nie mógł już usiedzieć w tem zamknięciu.

Począł się błąkać po ulicach i nieraz znużony przysiadł na kamieniu narożnym, albo na stopniach kościoła, aby po chwili powlec się dalej.

Pewnego razu odnalazł przastare w dziwnych zakrętach wijące się uliczki Ghelta, i od tej pory codziennie tam chodził. Czuł się najlepiej tam, gdzie nędza panowała.

— Nadszedł nareszcie grudzień. Opadł świeży śnieg, zdeptany tajał pod nogami, i rozplýwał się w deszczu w bajury błota. Starzec szedł tą drogą ze snutnie zwieszoną głową. W oczach jego świeciła się jeszcze ostatnia iskra woli. Sługa bożnicy znał go już dobrze, musiał nieraz zwracać uwagę, że czas zamykać bramę.

Tak nadszedł pewien dzień sobotni. W ciemnej budowli kładły się głębokie cienie na ścianach i belkowaniach; zimno było, jak pod grchowym sklepieniem. Starzec siedział w jednej z ławek, a pierś jego wstrząsała ciche westchnienia.

Jakiś poważny głos mówił uroczysto:

— On czyni jednemu narodem wielkim, a potem ich obniża. On rozradza naród a potem znów go rozpędza. On odbiera męstwo wodzowi tego narodu, aby w ciemnościach błądzili, jako pijani.

Starcowi dziwnie plątały się myśli, czyż nie dochodzą go dźwięki muzyki? Gdzieś, w dali, dzieci śpiewały, na wielkich szarych polach, a on, młody, siedział na swoim wózeczku i wesolo poganiał swego konika. Poważny głos wmieszał się w jego myśli:

— Jak daleko sięga moja przewrotność i grzech? Czyż chcesz być względem straconego liścia tak srogim i ściągac zwiędłe źdźbło?

Nagle stało się cicho, ach tak, cicho. Coś okryło kraj, ale konik jego biegł.

Jeszcze raz otworzył starzec oczy i wdział, jak gaszono świece.

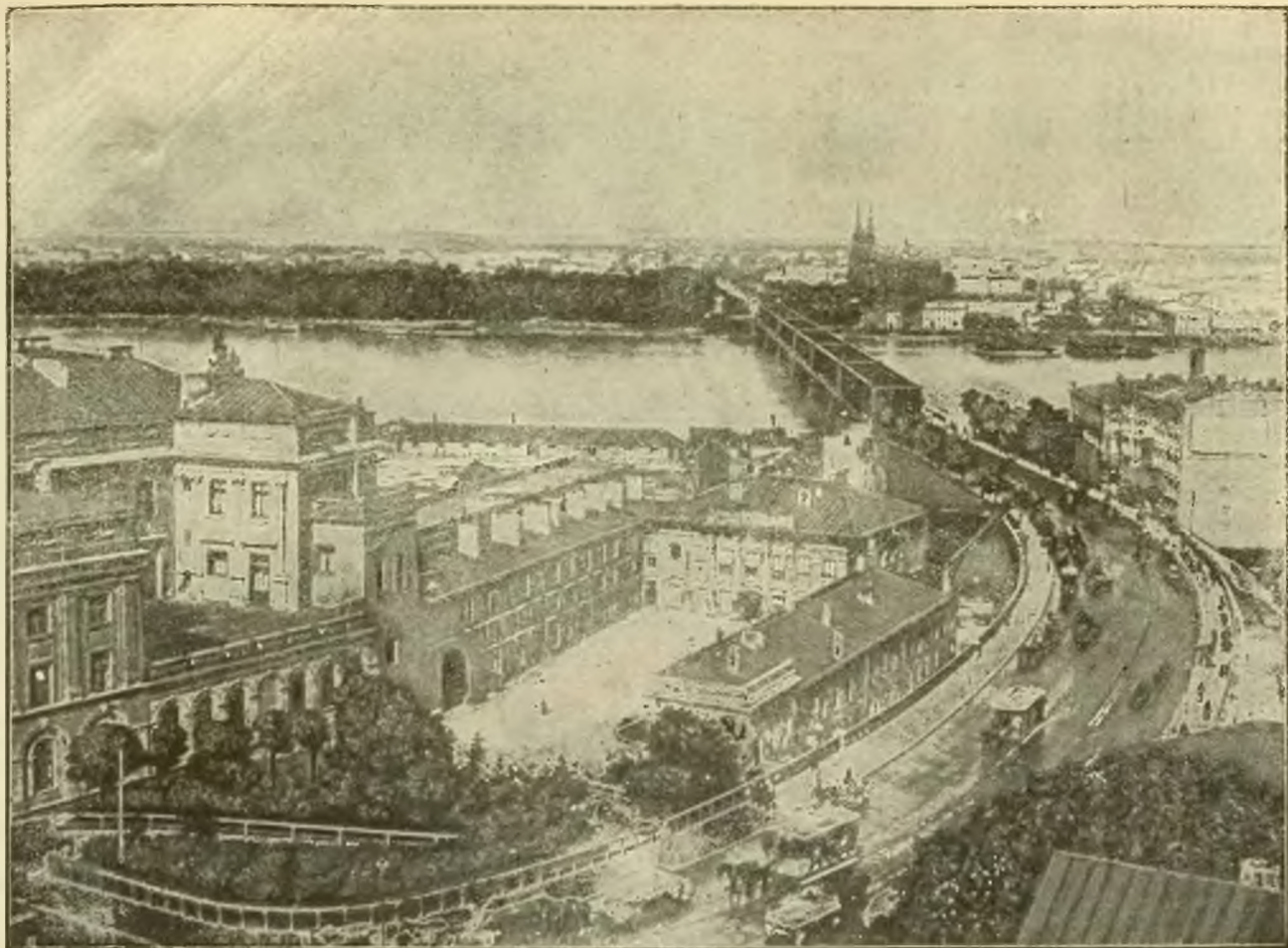
— Szabas się skończył! szepnął.

W chwilę później podszedł do niego sługa i trącił go z lekka. Nie wiedział on, że starzec ze swym konikiem już w lepsze światy odjechał.



Walki we Francji.

Francuzi wyskakują z rowów strzeleckich, aby pójść do ataku na bagnety.



Warszawa. (Zjazd i widok na Pragę).

Warszawa

Nasza polska ziemia jest terenem największego dziejowego huraganu. Setki drobnych miasteczek polskich i tysiące wsi padło pastwą ogólnego zniszczenia, a lada chwila nieszczęście to gotowo zjawić się u bram dwu serc naszej rozdarłej ojczyzny: u bram Krakowa i Warszawy. Nawala walczącej armii już raz podmywała stoki fortów warszawskich, obecnie od długich miesięcy przyczyna się w niewielkiej odległości, gotując się do skoku.

Niewiadomą przyszłość nakreśliło przeznaczenie temu miastu.

Uboga wioska wśród puszczy, nędzna osada leśna w tym czasie, gdy stołeczne grody Kruszwicy, Poznań, Krakowa lub Płocka pyszniły się ze swych królewskich i książęcych tronów, siedziba dzikiego zwierza, gdy pobliski Czernichów bódł niebo basztami zamku i wieżycami licznych kościołów, Warszawa niesłychanie szybko poczęła wzrastać, wyprzedzać swoich poprzedników, pochłonęła książęcy Czernichów, wybiła się nad Płock, zbladły przy niej stare piastowskie grody wielko- lub małopolskie, sięgnęła wreszcie po królewskie stołeczne berło, które złożył jej pokornie Jagielloński Kraków.

Rozpęd państwa ku północo-wschodowi sprzyjał rozwojowi tego środkowego punktu ziem. Nie mógł utrzymać stołecznego charakteru Kraków, leżący na skraju państwa u podwala rarpat, ani wysunięty jak strażnica ku zachodowi pod Brandenburskiego dra-

pieznego sąsiada Poznań. Nowe dążenia państwa, nowe interesy, nowa dynastia w nowym ulokowały się mieście. Ale nie była to już doba rozkwitu Zygmunto-wskiego słońca. Toczyło się już ono z zenitu ku zachodowi. Zmrok począł naciągać całun niepowodzeń, gromy waliły, w blasku dziejowych błyskawic zadrzało ze zgrozy miasto. Burza wymiotła zeń pamiątki wieków, ledwie gdzieś pozostały szczątki blasku.

Ale życiodajna rzeka, wygodne położenie środkowe na szlaku wielkich dróg handlowych, zamieniające je na punkt wymiany płodów południa i północy, wschodu i zachodu, przedziwna ruchliwość i energia zamieszkującego je żywiołu — sprawiły, że miasto wzniosło się znowu i w ostatnich paru dziesięcioleciach nadzwyczajnie szybko wzrastało i rozwijało się potężnie.

Rozwój ten rozparł ciasne mury starej Warszawy, rozlał szeroko życie po ołączających ją osadach i wioskach, zbił je w jedno miasto, a z ich przeszłości pozostały jedynie nazwy, jak: Leszno, Grzybów, Muranów, Koszyki, Solec lub Ujazdów. Ten rozpęd przelewał się za linie okopów i rogatki; odległe przedmieścia, jak Wola, Czyste, Ochota lub Mokotów, w niedługim czasie wejdą w obręb miasta, a za lat kilkadziesiąt będą się dziwili ludzie, słuchając o lasach i dołach w obrębie Mokotowa, jak dziś z podziwem i uśmiechem słucha się opowiadania staruszka, że jego matka wyjeżdżała z Warszawy na Chmielną na letnie mieszkanie.

Szybki jednak ten i jak gdyby dorobkiewiczow-

ski rozkwit miasta wyciska swoje piętno na jego charakterze. Brak tu zupełnie pewnej monumentalności w typie budowli, w planach ulic i placów. Jedynie kościoły liczne i wspaniałe stanowią pod tym względem wyjątek. Reszta, to tylko w znacznie lepszym gatunku Łódź, stawiana żywo, gorączkowo, z pośpiechem, aby prędzej, aby się gdzie pomieścić. Wyciąć stary park, pokrajać w wąskie ulice obszerny plac, obudować je szablonowymi kamienicami, gdzie za duże pieniądze ma się małe pokoiki i zupełnie ciemne podwórka, oto przewodnie hasło rozwoju Warszawy. Ten gorączkowy ruch wyciska swe piętno i na sposobie życia mieszkańców i na ich charakterze. Nigdzie na świecie nie jest ludziom tak pilno, nie zdążają z tak zajętemi, zafrasowanymi minami po ulicach, jak w Warszawie. O każdej porze dnia ruch jest wielki, pełno dorożek, wozów i powozów, pełno szybko biegnących przechodniów.

Jak każde wielkie miasto posiada Warszawa bardzo różne w swym charakterze dzielnice, gdzie pomieściła milion mieszkańców. Dzielnica każda ma nietylko swój odrębny wygląd ulic i domów, ale też i mieszkańcy jej mają również niezmiernie odmienny typ, a stały mieszkaniec miasta umie określić, w której dzielnicy zamieszkuje spotkany przechodzień. Najstarsza, która zajmuje czworobok rynku Starego miasta wraz z przyległymi ulicami Ś-to Jańską Piwną, Dunajem, Gołębią, Krzywem Kołem, Brzozową i in.. ma najwięcej typowego charakteru, ma nawet swego piewce: Or-ota, który wyczuł niezmiernie charakter tej dzielnicy i zamieszkującej ją ludności. Dzielnica ta stanęła wałem starych kamienic ku Placowi Zamkowemu, skąd posąg Zygmunta III na wyniosłej kolumnie zwrócony jest w stronę dawnej zamiejskiej dzielnicy, w stronę Krakowskiego „Przedmieścia“, gdzie poczyna się wykwinna okolica miasta. Krakowskie Przedmieście, dalej Nowy Świat, aż ku Alejom Ujazdowskim — to ele-



Warszawa. (Most na Wiśle od Zjazdu na Pragę).

gancki świat, świat ludzi zamożnych. Tam są pałace możnych i domy bogaczy, siedliska wiedzy i sztuki, pomniki chwały i miłości, świątynie wykwinnego świata, jak kościół PP. Wazytek, lub wiecznie napełniony ludnością kościół Ś-to Krzyski z napisem „Sursum corda!“ Do tej dzielnicy przylega duży, zamożny obszar, aż do ulicy Marszałkowskiej, stanowiącej niezmiernie długą, równoległą do poprzedniej, linię. Obie przecina wspaniała, szeroka droga alei Jerozolimskich. Dzielnica za Alejami jest nowa zupełnie; ulice przecinające Marszałkowską, jak: Nowogrodzka, Żorawia, Wspólna, Hoża, Sadowa, Wilcza, Piękna i Koszykowa, są ulubioną siedzibą urzędniczego świata Warszawy, który biura swe ma rozrzucone przeważnie w starych dzielnicach, lecz mieszka tutaj najchętniej. Wielki czworobok między Marszałkowską, Królewską, Żelazną i Alejami zajęli drobni mieszkańcy ze świata kupiecko-urzędniczego. Jest to dzielnica uboższa od poprzedniej, zamieszkała przez urzędników kolejowych w okolicach Chmielnej, Złotej i Siennej, gdy położone za niemi, Śliską, Pańską, Twardą i Grzybowską, aż ku Żelaznej Bramie, zamieszkuje drobni handlarze żydowscy, operujący na placach Grzybowa i Żelaznej Bramy.

Za ulicą Żelazną, aż ku okopom miasta, zajęła dzielnicę ludność robotnicza i rzemieślnicza, pracująca w leżących tu fabrykach Handkego, Ortweina lub Bormana, w warsztatach kolei Wiedeńskiej i wielu innych drobniejszych.

Od długiej linii Krakowskie Przedmieście — Nowy-Świat ku Wiśle zaległa wązka, długadzielnica Powiśla, która rozpoczyna się pałacami i parkami, jak Frascati, Konsewatorium muzyczne, Dynasy, Uniwersytet, ogrody Wazytkowski i Karmelicki, spada ze wzgórz zieleńią drzew, i krzewów, a kończy się na piaszyźnie dawnego dna Wisły, ubogimi ulicami, jak: Dobra, Browarna, Solec i Czerniakowska - siedzibami bardzo biednej ludności, pracującej bądź nad Wisłą, bądź w fabry-



Warszawa. (Zamek królewski).

kach dzielnicy nadrzecznej, jak: Gazownia, Lilpop albo Rudzki. Kończy się ta dzielnica wstrętym pobrzeżem, pełnym śmierci i olbrzymich tumanów kurzu, w którym na płatach szarej trawy bawią się dzieci nad rzeką. Ta dzielnica nadrzeczna, pomimo swej przepięknej panoramy na drzewa i łąki Saskiej kępy, na domy i dachy Pragi, nad którą majestatycznie wznoszą się wspaniałe wieżące kościoła Sw. Floryana, jest najwstrętniejszym kopcuszkim miasta. (Dok. nast.).

JÓZEF GALUSZKA.

„Miałeś chamie złoty róg“.

Wiemy z historii, że gdy dla jakiegoś narodu zbliżały się chwile ważne, mogące rozstrzygnąć o jego życiu lub upadku zjawiali się przed owym narodem pomazańcy pańscy, geniusze, harfiarze — wieszczę, którzy potęgą swego ducha przerywali zasłonę przyszłości i śpiewali swym współziomkom pieśń losów przyszłych, której oni często rozumieć nie mogli.

I przed nami stanął nie tak dawno geniusz-wieszcz i wyśpiewał pieśń dni dzisiejszych „Wesele“, — a myśmy go nie rozumieli. Nawet najmądrzejsi z nas mówili i pisali — my nie rozumiemy „Wesela“ — a inni odpowiadali im na to — „Wesele“ trzeba odczuć, zrozumieć się nie da.

I patrzyliśmy wszyscy na „Wesele“ pod wszelakimi kątami widzenia, jak na coś, czego dobrze wytłumaczyć nieumieliśmy sobie, a co jednak wydawało nam się wielkie genialnie... Bo i któż z nas, patrząc, na scenę, poruszających się w hypnotycznym tańcu osób, w takt pieśni chochoła „Miałeś chamie złoty róg“ — nie doznawał uczucia jakiegoś oczekiwania, jakiegoś bólu niewytłumaczonego?

A ilu to z nas było takich, którzy wpatrując się z jakimś bezgranicznym uporem w ową scenę czuli, że im się coś łamie w duszy, że coś za krtań ich ściska, że to, na co patrzą to w nich mieszka, że to z ich wnętrza wykradzione i wtłoczone w ramy „Wesela“.

Gdy mistrz, który wyśpiewał nam „Wesele“ zmiłkł i żegnany hymnem krakowskich dzwonów zeszedł w grobowców podwoje — na „Weselu“ zakreślono wielki znak pytania. Lecz nie długo czekaliśmy by pieśń przyszłości przerodziły się w pieśń dni naszych.

Oto dzisiaj patrzemy już na ostatnią scenę „Wesela“ które losy przegrały już przed naszymi oczyma.

Patrzyliśmy na wszystko; widzieliśmy o srebrnym włosie rycerza stepów, harfiarza ukraińskiego Wernyhore, który przwiózł nam złoty róg, słyszeliśmy wieści lecące od krakowskiego gościńca o oddziałach zbrojnego ludu, widzieliśmy maszerujące szeregi tych, co poszli, zbudzeni ze snu przez Jaśka, widzieliśmy, jak „macono narodową kadź“; przesuwaly się

przed oczyma naszymi postacie, przypominające hełmana, gnanego wyrzutami sumienia — złotem, za które sprzedał ziomków. — Wszystko to, co jest w „Weselu“, widzieliśmy powtórzone w rzeczywistość.

Dziś wiemy, żeśmy zgubili Złoty Róg Wernyhory i że przeżywamy ostatnią scenę z „Wesela“. Chochoł gra nam tą straszną pieśń o zagubionym Rogu, a my poruszamy się, jak manekiny w tańcu i czegoś wy-czekujemy, czegoś, coby nas zbudziło — gromkiego hejnału Złotego Rogu ukraińskiego harfiarza.

Patrzyliśmy na tą scenę tyle razy, zawsze z dziwnym oczekiwaniem — zakończenia. — Z pieśni chochoła, zmuszającej do tańca w hypnozie, powinien powitać hymn, zrodzony u granitowych stóp pomnika króla — zwycięscy z pod Grunwaldu, hymn, budzący zaklętych w tańcu i wlewający w nich energię, hymn Złotego Rogu, któryby przeleciał od Tatr śnieżnych do olowianych fal Bałtyku :

Nie rzucimy ziemi skąd nasz ród,
nie damy pogrześć mowy...

RUDOLF BARANOWSKI

Polska...

Krajem była jej ziemia twarda i złomista,
Mieszkańcem las i w ziemi kąt ponury,
Sąsiadem wilk, ubrańcem kawał skóry,
Jadłem mięso, napojem woda czysta —

Polska...

Hosanna, Hosanna...

W imię Boga i Marii w bój szła z krzyżem w ręce,
Przedmurzem wiary Chrystowej była,
Lecz przyszedł czas i zdrada zwyciężyła;
Legła ludów Chrystusem w krwawej męce —

Polska...

Ach, ach! na krzyżu umiera...

Oto chwila nadejdzie, chwila osobliwa,
Sposobić serca, ducha w piersi wzmożyć.
Nadejdzie chwila... Przyjdą grób otworzyć.
Żywa wstanie, w on dzień powstanie żywa!

Polska!

Alleluja!

Budziejowice, 28-go marca 1915.



Warszawa. (Teatr „Wielki i „Rozmaitości“).



(Kilophot — Wieden).

Z walk w Karpatach.

Po lewej stronie: Pozycja dział polowych. Przy każdym dziale schronienie ziemne dla żołnierzy. — Po prawej stronie: Pościg moskiewski za austriackim konnym ordynansem.

Drobne wiadomości.

Pod przełęczą dukielską. Miernie wysokie pogórze szaryskie i sąsiednie ziemlińskie, w którym toczą się obecne walki o przełęcz dukielską, jest piękną krainą z romantycznymi zabytkami przeszłości. Nie są to niebotyczne Tatry, ale góry i wzgórza tamtejsze są równie malownicze. Obecnie po ich zboczach i w dolinach rozlega się huk dział, który wypłasza niedźwiedzie i wilki, oraz inną zwierzynę aż do sąsiednich Moraw. Odgłosy strzałów wypełniają zwłaszcza dolinę Makowicką, którą prowadzi piękna droga z Badyjowa przez Zborów, Smilno i Świdnik do przełęczy dukielskiej; jest to turystycznie najpiękniejsza część wschodniego Beskidu. Przed 474 laty Husyci przywieźli tędy swoje działa do żupaństw Szarysz i Spisz, kiedy ciągnęli przeciwko wojskom Hunyadiego, które porazili pod Łuczeńcem właśnie przewagą swej artylerji — a w roku 1849 ciągnęli tędy Rosyanie pod Paskiewiczem na Węgry przeciwko Görgey'owi. Do dziś jeszcze widać w dolinie Makowickiej okopy, usypane przez rosyjską; może i teraz jeszcze oddały te okopy pewne usługi. Kraina to przeważnie słowacka; jednakże, jakśmy to już nadmienili, ludność polska tworzy tu silną większość, a specjalnie w okręgu Makowickim wszystkie miejscowości, jak Duplin, Huta Stebnicka, Sucha, Zborów, Tyszyn, Mościska, Stroczyń mają od 40 do 90 procent i więcej Polaków, najznaczniejsza z nich Zborów ma, podług urzędowej statystyki, na 2.250 wszystkich obywateli, 1.435 Polaków.

Duplin (Banya völgy) jest małą osadą (300 mieszkańców) na drodze, prowadzącej ze Stropkowa na północ. Leży w dolinie Ondawy pośród stromych wzgórz, na 500 metrów wysokich, porośłych lasem. Właśnie o pozycje na tych wyżynach przez kilka już dni toczą się krwawe boje. Do Stropkowa jest stąd 3 klm. Linia frontu bojowego, posunięta tu na południe między Duklą a Łupkowem, rozciąga się tu na 25 klm.

Tak często wymieniany w ostatnich czasach Laborczew, jest miejscowością, oddaloną o 12 kilometrów

od stacji Łupków na linii kolejowej Hunenne (Homonna) — Mezölaborcz — Lisko. Rosyanie, atakując tutaj, chcą sobie utorować drogę do Hunernego i Preszowa (Eperjes).

O nasz język ojczysty. Jedna czytelniczka Kur. Wied. opowiada następującą przykrą przygodę: Dnia 20 bm. jechałam z córką tramwajem do Hietzing (XIII. dzielnica). Rozmawiałyśmy ze sobą po polsku. Naraz ku naszemu wielkiemu zdziwieniu jakiś obywatel wiedeński, siedzący naprzeciw, zwrócił się do nas w surowym tonie: „Tutaj w Wiedniu nie wolno mówić po polsku. Jak cięcie mówić po polsku, to wracajcie do Polski!” Ponieważ władam biegle językiem niemieckim, odpowiedziałam mu z miejsca po niemiecku: „Jako? My wygnańcy, straciliśmy wszystko i jeszcze naszą mowę ojczystą caciesz nam Pan odebrać? A czy Pan zapomniał, że na polach bitew walcą Polacy ramię w ramię z Niemcami w obronie państwa przeciw dziczy moskiewskiej? W tramwaju zrobiła się cisza. „Obywatel” zapomniał języka w gębie, a ja spokojnie mogłam kontynuować moją polską rozmowę.



(Kilrphot — Wiedeń).



Z walk w Karpatach.

Po lewej stronie: Grób pułkownika Kühtreibera — Po prawej stronie: Niemiecki oddział narciarzy.

Dziewięciu synów w polu. Z okolic Fulnek donoszą nam: Żyje tu rodzina nazwiskiem Böhm, składająca się z 10 synów i 3 córek. Z pośród synów stoi już 9 w polu a dziesiąty obecnie właśnie został zaasenterowany. Podobno zaś jeden z nich, który był nauczycielem, padł już na polu chwały, w każdym razie dość rzadki wypadek, aby dziewięciu braci służyło równocześnie pod bronią.

Paszczą szatana. Wojska austriackie wzięły do niewoli rosyjskiego oficera-lotnika, który opowiadał pomiędzy innymi:

My, Rosyanie, nazywamy Karpaty „paszczą szatana” z tego powodu, że panują tam straszne wichry, z powodu których niepodobna prawie uchronić samolotu przed przewróceniem się. Ja trzy razy usiłowałem dostać się na drugą stronę Karpat za pomocą samolotu i za każdym razem musiałem zaniechać lotu. Już w r. 1911 przy sposobności mityngu lotniczego w Budapeszcie zwracali naszą uwagę na te niebezpieczeństwa lotnicy francuscy. Z naszych 32 oficerów lotniczych, którzy kształcili się w szkole francuskiej, już ani jeden nie pełni służby w szkole francuskiej, żaden bowiem nie mógł sobie dać rady z „paszczą szatana”.



Rodzina Böhm z Fulneku.

(Fotografia pochodzi z przed paru lat).

Ogólne straty wojenne w ludziach. Zarząd międzynarodowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża w Genewie ogłosił statystykę, zawierającą całkowite straty wojenne w ludziach wszystkich państw walczących do 31. grudnia 1914 r. Według tego wykazu było w te pierwsze pięć miesięcy wojny 2,339.000 zabitych; liczba rannych i chorych wynosiła 4,033.000 żołnierzy.

Natarczywe carskie swaty. Dzienniki rzymskie przynoszą ciekawą informację, że w najbliższych dniach odbędą się zaręczyny bułgarskiego następcy tronu Borysa z jedną z córek cara. Należy tu wspomnieć, że ta córka cara miała już być także zaręczona z rumuńskim następcą tronu, ale rzecz się rozchwiała.

Zdaje się, że i tym razem te dość natarczywe carskie swaty skończą się na dobrych chęciach — jednostronnych.

Największy szpital świata — w Czechach. Jak donoszą dzienniki czeskie, w Pardubicach budowany jest obecnie szpital, który będzie największym szpitalem świata. Składać się będzie na niego ogółem 198 budowli; służbę lekarską pełnić w nim będzie 370 lekarzy; pielęgniarek będzie w nim przeszło 1.000, oprócz 500 osób męskiej i żeńskiej służby. Do szpitala przeprowadzone będą dwa specjalne odgałęzienia linii kolejowej.

Królewiec i Grunwald

opowiadanie historyczne

9)

przez

Feliksa S...

— Lecz z drugiej strony — mówił dalej biskup morderstwo małych książąt sprzeciwiało się najważniejszym interesom Sonnenberga. Bo i cóżby Zakon ofiarował mu w zamian za to, co go czekało u uwielbionego księcia w nagrodę za wydobycie jego synów z niewoli? Sonnenberg nie popełniłby nigdy takiej zbrodni, gdyby go kapitulą, a przynajmniej niektórym jej członkom, do tego nie zmusili. Wymieniłeś Salzbacha: i to nazwisko uderzyło najjaśniejszego księcia. Zatrzymajże sobie w pamięci ten szczegół. Ale czy myślisz, że ci się uda odkryć cały wątek tej okropnej zbrodni? Jeżeli nie, to powiedz otwarcie: wielki książę może to polecić komuś innemu.

— Oczywiście rzecz, przewielebny książę biskupie, — odpowiedział Birmund po kilku chwilach głębokiego namysłu — że sam przez się nie mógłbym tego dokonać. Nie mogę nawet pokazać się w państwie zakonnym; Sonnenberg i tylu innych Krzyżaków mogliby mnie poznać... Mimo to, nie uchylam się od tego, co sobie poowiązek uważam.

— W jakim więc sposób, mój synu, zamierzasz sobie dochodzić prawdy? Pamiętaj bowiem, że tu idzie o czystą prawdę nie o podejrzenia lub o pozory. Jesteś przekonany, że Sonnenberg otruił książąt, i my wierzymy tobie; ale kto go do tego pobudził?

— Na pograniczu Litwy i Zmudzki — odrzekł Birmund — mieszka na swojej ziemi mój synowiec, który od dziesięciu aż do osmnastu lat swego wieku przebywał w niewoli u Krzyżaków; wychowany był nawet przez nich; ale od lat już pięciu uwolniony, wrócił pod ojczyzną strzechę. Wydobywszy się z ich szponów, przyszedłem do niego, aby przez parę miesięcy wypocząć i wzmoćnić się na zdrowiu bardzo nadwątłonym. Opowiadał mi potwarze i krzywdy, których w więzieniach niemieckich nie szcędzono mi wcale. Słuchał mnie z wyjątkową uwagą, że wzrokiem palącym, nieubłaganą zemstą. Widziałem z pociechą, ile krwawej nienawiści ku wrogom może się zgromadzić w sercu Litwina. Wychowali go Niemcy, ale nie na swój pożytek. Waldemar Birmund pomści się za rozdanego brata ojcowskiego; bo i sam z Krzyżakami ma także rachunki. Nic go nie wiąże, ani małżeństwo, ani węzły krwi, bo prócz mnie, nie ma nikogo na świecie. Krzyżacy zamordowali mu ojca, wyrwali go dzieckiem z macierzyńskiego objęcia, i chociaż dali mu wiarę świętą, chociaż starali się go przygłaskać, Waldemar o najmniejszym złem, które mu wyrządzili, dotąd nie zapomniał i nigdy nie zapomni... Umie on być i niewinnym gołębiem i drapieżnym sokołem puszczy niemieńskich i dobrym Litwinem i nieprzejednanym wrogiem dla wrogów. Dosyć mi tylko wyrzec słowo, a spełni wszystko co mu rozkażę, spełni tem chętniej, za taka jest wola jego monarchy i pana. Potrafi ci przedrzeć się nawet do Malborka i w piersi mistrza Zakonu utopić sztylęt po samą rękojeść.

— Uspokój się, panie Birmund! — rzekł biskup. — Nie idzie tu wcale o dzisiejszego mistrza, który jest wcale niewinnym śmiertelnym młodzieńcem. Najjaśniejszy książę żąda tylko sprawiedliwości i kary na winnych za niezłomną klęskę, którą na jego ród sprowadzili. Wielki książę, pan tylu krajów, ciągnących się od morza do morza, nie ma ich komu przekazać po

sobie. Pomyśl raz jeszcze, mój synu, czy Waldemar Birmund, przy gwałtowności swej nienawiści, przy gorącej krwi młodego wieku, potrafi spełnić swoje poruczenie i wykrzyć winowajców?

— Mój synowiec, przewielebny pasterzu i panie — odrzekł Birmund — przeszedł przez dobrą szkołę. Krzyżacy wyuczili go chytryści i wszelkich podstępów; umiał on, ilekroć była potrzeba, pozyskać ich ufność; zamykał w sobie srożącą się w sercu nienawiść i, gdy wszystko w nim wrzało, oblicze jego i oko były spokojne i zimne. Bezczeka potwarz kła dotąd moje siwe włosy; ale syn mego brata zedrze ze złoczyńców zasłonę, która ich twarz okrywa, a ja ujrzę jeszcze dzieła sądu i kary na nich! Bóg jest sprawiedliwy i w Nim moją nadzieję i wiarę pokładam!

X.

W dwanaście niespełna miesięcy po tej rozmowie, przed wielkim księciem Witoldem, w Grodnie, na tajemnym posłuchaniu stał piękny dwudziestoczteroletni młodzieniec, jasnowłosy, wysokiego wzrostu i kształtnej postawy, ze spojrzeniem jastrzębia lub sokoła, z tem bystrzem spojrzeniem, przed którym na łowach nie się nie ukryje.

— Nie mogę się porywać na odmalowanie wielkiej postaci dziejowej Witolda i odwołuję się znowu do znanego całemu światu obrazu. Niech go sobie czytelnik wyobrazi takim, jakim był we dwa lata później w bitwie pod Grunwaldem, niech tylko uniesienie tryumfu i zapach zwycięzcy zastąpi na jego obliczu wyrazem boleści ojcowskiego serca i niewysłowionej zgrozy.

— Jestem Waldemar Birmund — rzekł młodzian, wszedłszy do sali i zgiąwszy kolano przed Witoldem. — Spełniłem wasz rozkaz najjaśniejszy książę i panie mój miłościwy, przekazany mi usty naczelnika mojego rodu, Jana Birmunda. Jeżeli w czasie mego pobytu w krajach zakonnych krew krzyżacka zbroczyła mi ręce, wasza wielko-książęca mość, pan mój najmiłościwszy, raczy przebaczyć — nie mogłem tego uniknąć.

Wielki książę skinieniem ręki rozkazał mu mówić: i młody Birmund opowiedział co następuje:

Głównem dla niego zadaniem było umieszczenie się w służbie Sonnenberga; pojechał więc do miasteczka, położonego niedaleko od jego komandoryi i tam zaczął się przysłuchiwać opowiadaniom o Sonnenbergu, jego trybie życia i dziwactwach. Przebranie się za człowieka ubogiego i w pewnym już wieku zmieniło Birmunda do niepoznania. Dowiedział się on wkrótce, że dla jakichś niezrozumiałych powodów Sonnenberg szuka sobie służącego niemowcy. Nikt w okolicy nie wiedział, że komtur, dręczony wiecznie żyjącem wspomnieniem swej zbrodni, zapominał się często, rozmawiał sam z sobą, zwłaszcza, gdy dla zagłuszenia swojej zgrozy, uciekał się do trunku. Zdarzało się to wprawdzie coraz rzadziej, lecz zawsze się zdarzało, a tymczasem, jedno nieostrożne słowo, wymówione w przytomności niepotrzebnego świadka, mogło go zgubić. Sonnenberg miał już nawet przy sobie takiego miłującego sługę, ale ten umarł był przed niedawnym czasem. Młody Birmund uchwycił się natychmiast myśli objęcia obowiązków po zmarłym; ale przeszkadzała mu ważna okoliczność.

— W komandoryi Sonnenberga — mówił Waldemar tonem, w którym zadźwięczała nienawiść — był pewien rycerz zakonny, Zygfryd Rennenwald, mój wróg osobisty, którego o śmierć mego ojca powszechnie obwiniano. Dopóki on żył, nie mógłbym nawet pokazać się w komandoryi, bo poznał mnie-by odrazu. Musiałem

go więc usunąć z mej drogi... i pewnego dnia, Krzyżacy znaleźli jego trupa w krzakach, niedaleko od swego klasztoru. Nasz święty pasterz, Biskup Wileński, mówił mi wczoraj, że ciężki grzech popełnił; ale Rennenwald był zaklętym wrogiem Zmujdzi i mego domu, pozabawił mnie ojca i niechł jego krew spadnie na jego własną głowę. Przed wami, najjaśniejszy książę, prawdę tylko mówić winienem, jak na świętej spowiedzi, i co uczynił, tego przemilczeć nie mogę. A przytem, kto cudzej i skrytej zbrodni dochodzi, musi i sam iść krętymi ścieżkami, na których nie trudno we krwi umoczyć ręce.

Po śmierci Rennenwalda komtur Sonnenberg nie mógł wyjść na krok z kommandoryi, aby mnie nie napotkać z wyciągniętą ręką. Dał mi parę razy jałmużnę, lecz nakoniec, pewnego dnia, spostrzegłszy, że młody, zdrowy i silny, wówczas już bowiem przestałem udawać starego, zapytał mnie: dlaczego żebrzę, będąc zdolnym do pracy?

Dałem mu poznać na migi, że nie tylko mowię, ale i słucham jestem pozabawiony. Sonnenberg spojrział na mnie z uwagą, ale nie masz krzyżackich oczu, któreby mnie o niepokój przyprowadziły. Ośm lat życia spędziłem u nich w niewoli i na nauce; i lubo każdemu innemu udawanie głuchoniemego 'trudno-by się wydało, mnie jednakże, przyuczonemu od dzieciństwa do ukrywania się przed ich tygrysią przewrotnością, wszystko, co tylko zamierza ku ich szkodzie, z łatwością przychodzi.

Sonnenberg znalazł sługę, jakiego szukał: jednym słowem, zostałem przy nim.

Waldemar Birmund, streszczając następnie to, co Sonnenberg mówił w stanie zapomnienia, sam do siebie lub do spółników swej zbrodni, a oraz odpowiedzi tych ostatnich, złożył księciu jasną i zwięzłą relacją.

W 1392 r., jeszcze za życia Wallenroda, Sonnenberg po oderwaniu się Witolda od Zakonu, ukazał się w Królewcu. Jego stosunki poprzednie z wielkim księciem, wzniewały przeciw niemu pewne podejrzenie, ale marszałek Zakonu Engelhard Rabe, jego osobisty przyjaciel, wziął go pod swoją protekcję i w pewien czas potem powierzył mu pielegnowanie małych książąt i główną nad nimi opiekę. To poruczenie odpowiadało najzupełniej tajemnym życzeniom Sonnenberga, który w rzeczy samej miał szczerzy zamiar wydobyć z pod władzy te dzieci i razem z nimi pośpieszyć na Litwę, do Witolda. Cóż więc dziwnego, że ożywiony takimi chęciami, był dla nich pełnym troskliwości i dobroci opiekunem? Lecz w czerwcu 1393 roku, ukazał się na wodach królewieckich statek litewski, wyprawiony przez Witolda z Połogi, z zaleceniem, iżby czekał na rozkazy Sonnenberga. Burze, które w owym czasie panowały na morzu, nie pozwalały mu przybić do wiadomej kapitanowi lustronnej przystani. Tym sposobem statek przez dni kilka krążył na widoku, i nakoniec Krzyżacy wpadli na trop tajemnego porozumienia się jego dowódcy z Sonnenbergiem.

Było to w czasie, kiedy stary marszałek zwołał komturów na jakąś wojenną radę i w liczbie ich przybyli do Królewca: Markward Salzbach i Henryk Schwelborn. Obwinienia o przemieszanie i zdradę posypały się zewsząd na Sonnenberga i domagano się nań sądu. Ale w tem licznej zgromadzeniu przeważny głos mieli Salzbach i Schwelborn, pierwszy przepełniony jadowitą nienawiścią ku Witoldowi; drugi, niezmiernie próżny i pragnący zawsze odgrywać rolę w najważniejszych sprawach Zakonu. Obadwaj naradzali się z sobą i osadzili, że nareszcie nadeszła stosowna pora po-

zbawienia Witolda obudwu synów, których życie nieweczyło skutki, układu tego księcia z Zakonem, układu, który oddawał Krzyżakom panowanie nad Litwą i Zmujdzą, w przypadku, gdyby Witold zeszedł bez potomka płci męskiej. Oświadczyli więc Sonnenbergowi, że jedynym dlań środkiem ratunku była śmierć synów Witolda, że grasująca w Królewcu epidemia, nada jej pozór wypadku naturalnego, nakoniec, że, natychmiast po zgonie małych książąt, oni, Salzbach i Schwelborn, przez swoje wpływy u marszałka i przewagę nad innymi komturami oddały od niego wszelkie niebezpieczeństwo. Na tę nikczemną i podłą propozycję, Sonnenberg ratując swoje życie i mniemany honor, odpowiedział najohydniejszą zbrodnią, jaka tylko w dziejach została spełnioną.

Nieszczęsne dzieci umarły z trucizny — lecz za to rycerski zakon dostąpił, przynajmniej według swego pojęcia, praw dziedzictwa po tym, którego następców zamordował.

Wkrótce potem, z różnych stron zaczęły dochodzić do księcia jednogodne wieści, że jego synowie zmarli z epidemii panującej w Królewcu. O prawdziwej przyczynie ich zgonu wiedzieli tylko dwaj obcy, to jest, Jan Birmund, i lekarz; ale Salzbach i Schwelborn przedsięwzięli względem nich natychmiast środki ostrożności, i dwaj niewinni odpokutowali kilkunastoletniemi więzieniem swoją obecność w kommandoryi, w czasie dokonania zbrodni. W każdym razie Krzyżacy umieli ją upozorować tak zręcznie, że nawet samego Witolda, słynnego z przenikliwości, w błąd wprowadzili.

XI.

Czerwiec 1410 r. miał się ku schyłkowi. Wojska zakonne, jak niezmierna powódź, posuwały się zwolna od Malborka ku Drwęcy. Pięćdziesiąt chorągwi i sztabarów; Kazimierz Książę Pomorski, Konrad Książę Oleśnicki, całe rycerstwo zakonne i goście zagraniczni z Frankonii, Brandenburgii, Westfalii, Szwajcaryi i innych stron Zachodu, wogóle 80.000 wojowników szło za wielką chorągwią Zakonu Teutońskiego i jego wielkim mistrzem Ulrykiem von Jungingen. Krzyżacy nie zapominali nawet o kajdanach dla spodziewanych jeńców wojennych; wieźli ich z sobą aż czterdzieści tysięcy. Na samą myśl o królu Władysławie i o księciu Witoldzie, mających dźwigać krzyżackie kajdany, radowało się serce zuchwałego Ulryka.

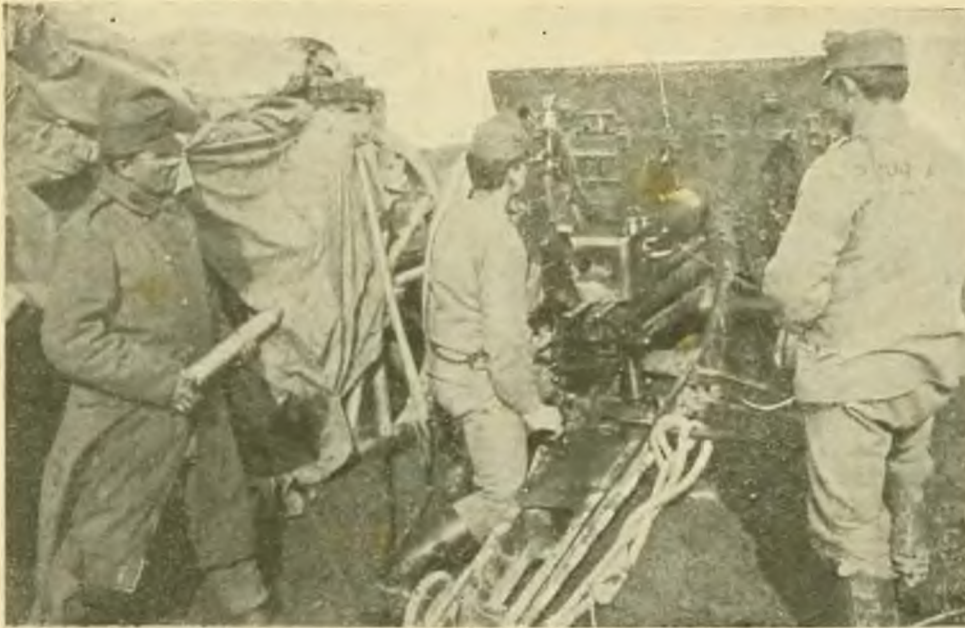
Ale dni potęgi zakonnej były już policzone.

„Dextera tua, Domine, percussit inimicum. Et in multitudine gloriae tuae deposuisti adversarios tuos.“*)

Wojska zakonne ciągnęły ku Polsce i pewnego wieczora obóz rozłożył się na niezmiernej równinie. Słońce zbliżało się ku zachodowi i złotokrławym blaskiem barwiło zielone lasy, opasujące okolice.

— Znam dobrze tę stronę — mówił Konrad Zugerhör, do swojego przełożonego, Alberta hr. Wende, podówczas komtura Gniewa. — To moja strona rodzinna. O staję drogi od tej równiny, za lasem, nad brzegiem tego strumienia, mieszka i dziś jeszcze rodzona mojej matki świętej pamięci. Ale przebaczenie, wjelebnny panje, że będąc zakonnikiem, do dziś dnia jeszcze o znikomym świecie i związkach krwi wspominam. Los bitew jest w rękę Bożem. Mogę z wojny nie wrócić i zasylam jej w myśli ostatnie pożegnanie. Ona mi, po śmierci matki, jej miejsce zastąpiła. Święta kobieta!

*) Prawica Twoja, Panie, poraziła wroga. I w nieskończoności chwaly Twojej straciłeś ze szczytu twoich przeciwników. (D. c. n.).



(Kilophot — Wiedeń

Z walk w Karpatach.
Ładowanie działa polowego



Ostatnia chwila Przemyśla.
Wysadzanie fortów przemyskich.

Z dziejów Przemyśla.

Przemyśl jest według świadectwa odkrytych tu zabytków przedhistorycznych jedną z najstarszych osad nie tylko w Galicyi, lecz w całej Polsce. Nazwę swą zawdzięcza księciu Przemysławowi, który w VII wieku po Chr. zbudował tu gród warowny. W początkach panowania Mieszka I należy Przemyśl jeszcze do Polski, lecz już w roku 981 zajmuje go Włodzimierz Wielki, książę kijowski, wraz z całą Rusią Czerwoną. Wprawdzie Bolesław Chrobry odzyskuje go w drugiej swej wyprawie na Ruś w r. 1018, lecz już w kilkanaście lat później zagarnia go znowu Jarosław, osmielony osłabieniem Polski za Mieczysława II. Za Bolesława Śmiałego Przemyśl, zajęty po dłuższym oblężeniu, wraca w r. 1070 po raz trzeci do Polski. Przyjmuje tu Bolesław króla węgierskiego Gejzę II, proszącego go o pomoc przeciw swemu bratu stryjcznemu Salomonowi.

Jeszcze w roku 1086 miasto wraz z resztą grodów czerwieńskich należało do Polski, w roku następnym jednak panuje tu już książę rurski Ruryk Rościszawicz z dwoma braćmi. Odtąd zostawszy stolicą udzielnego księstwa, Przemyśl przez długie lata należy do państwa ruskiego. Polacy, krzysząc z ciągłych walk pomiędzy licznymi książętami ruskimi, nie aż wprawdzie próbowali odzyskać utraconą ziemię czerwieńską, a za panowania Bolesława Krzywoustego książę przemyski Wołodar uznaje nawet zwierzchnictwo Polski, ale władza Polski nie zdołała się tu umocnić. Nietrwale było także zajęcie księstwa przemyskiego przez Kazimierza Sprawiedliwego i ponowne odzyskanie tej ziemi przez Leszka w traktacie spiskim 1214 r. W ciągu w. XIII wpływy polskie słabną coraz bardziej, a z naszej niemocy korzystają Węgrzy i Rusini, wydzierający sobie kolejno to miasto i resztę Rusi Czerwonej.

Dopiero Kazimierz Wielki, korzystając z wygaśnięcia halicko-włodzimierskiej dynastji Romanowiczów, zdobywa w roku 1340 warowne grody Rusi Czerwonej, mianując bojara Dymitra Detka z Przemyśla starostą tej ziemi pod swym zwierzchnictwem.

Odtąd rozpoczyna się dla miasta niszczonego dawniej wiecznymi walkami okres spokojnego rozwoju. Kazimierz wielki przebudowuje tutejszy zamek i otacza miasto murami. Zakłada on też w Przemyślu biskupstwo katolickie, które co prawda dopiero w roku 1375 weszło w życie. W tymże roku miasto raz jeszcze dostaje się na krótko pod panowanie Węgiei, lecz już w r. 1387 odzyskuje je wraz z całą Rusią prawną dziedziczka Jadwiga. W dwa lata potem Przemyśl otrzymuje od Jagielly prawo magdeburskie a z niem zadatek późniejszego rozwoju. Później miasto zostaje zupełnie zrównane w przywiilejach z miastami koronnymi i, prowadząc handel rozgałęziony z Koroną i sąsiednimi Węgrami, dochodzi do wielkiej zamożności.

W r. 1498 Stefan, wojewoda wołoski, pali miasto, a krótko potem Tatarzy niszczą przedmieścia, wobec czego król rezygnuje z opłat miejskich, przeznaczając dochody z nich na obwarowanie miasta i utrzymanie murów. Sprawy tej poświęcano widocznie odtąd baczniejszą uwagę, skoro w wieku XVII przetrzymał Przemyśl zwycięsko cały szereg oblężeń.

Tatarzy, Kozacy, Szwedzi i siedmiogrodzianie kusiłi się kolejno bezskutecznie o zdobycie miasta. Dopiero okolo roku 1760 wyreperował część walącego się zamku Stanisław August Poniatowski, który przez ostatnie 10 lat przed swą elekcyją posiadał starostwo przemyskie. Obecnie zamek leży w ruinach a z dawnych murów miejskich dochowały się tylko resztki przy ul. Władyczej.

Przemyśl dzisiejszy, wznoszący się amfiteatralnie na pochyłości wyniosłego brzegu Sanu, slynie z pięknego położenia i licząc 56.000 mieszkańców, jest czwartym największym miastem w Galicyi. Ozdobą miasta jest katedra rzymsko katolicka, fundacya Jagielly, której prezbjteryum wzniesiono okolo r. 1460, w stylu gotyckim, podczas gdy nawa główna i fasada zbudowane są już w stylu Odrodzenia. Kościół ten, od r. 1884 gruntownie odnawiany, mieści w sobie między innymi starożytną figurę Chrystusa Ukrzyżowanego z 15 w. i piękny renesansowy pomnik kasztelana Fredry z r. 1589. W roku 1910 z okazji 500 rocznicy



(Kilophot — Wieden).



Z walk w Karpatach.

Po lewej stronie: Stanowisko obserwacyjne za murem cmentarnym. — Po prawej stronie: Komendant niemieckich wojsk walczących w Karpatach gen. Linsingen.

zwycięstwa pod Grunwaldem, wmurowano na zewnątrz świątyni tablicę prof. Laszczki, na której wyobrażono wjazd Władysława Jagiełły i królowej Jadwigi do Przemysła.

Mniej ciekawa jest katedra grecko-katolickie przebudowana w końcu 19 w. z kościoła pokarmelickiego, ozdobiona wewnątrz pięknymi sztukateriami i posiadająca starożytną, rzeźbioną z drzewa kazalnicę. Z innych zabytków zasługują na wymienienie obronny niegdyś klasztor Reformatów z 17 w., z pomnikiem gwardyana Szychowskiego, dzielnego obrońcy miasta w czasie oblężenia przez Tatarów, w r. 1672, da'ej piękny kościół Serca Jezusowego, odnowiony w r. 1904, oraz starożytny budynek szkoły katedralnej z 15 wieku.

Smierć kolegi.

(Jeden z legionistów przysłał nam następujący opis rzeczywistego zdarzenia).

— Wstawać! Co do cholery śpią wszyscy ani się dobudzić nie można. Wstawać! Czuchraj! Hańcza! Wstaw! Wstawać! Śpią jak zabici. Nic dziwnego, wczoraj marsz 30 kilometrów, wyczerpał wszystkie siły! Ale co zrobić? Rozkaz! Wstawajcie chłopcy.

Pomału podnosi jeden głowę, drugi. Otwierają się senne oczy.

— Wstawać! Zrozumieli.

— Niech cię cholera weźmie! Wstawać i wstawać! Wrzeszczy, jakby mu placili.

Wstają! Po kilkunastu minutach wszyscy ubrani spieszą po śniadanie. Kawa czarna, mało słodka i odrobinek chleba.

— Mało!

— Nic to! Żołądek żołnierza musi być wytrzymały. Wybiega plutonowy z chałupy Szabla ostro dzwięczy. Chwyta sznurek czerwony i głos gwizdka przesywa powietrze. Wszyscy spieszą na łeb i na szyję. Stają do szeregu!

— Baczność!

Wyprostowany stoi szereg jak struna. Twarz każda skupiona, poważna. Rozlega się surowy głos komendanta:

— Chłopcy, dziś nadszedł znów dzień, gdzie musimy stanąć trzykrotnie silniejszemu przeciwnikowi. Idziemy zmienić naszych towarzyszy. Niech bojaźń na żadnej się nie odbije twarzy. My spokojni, surowi pójdziemy. Walka za Wolność i Polskę! Marsz!

Idziemy! Zbliżamy się do placu boju. Słychać chychot trzaskających szrapneli. Basowy głos pękających granatów, piekielny świst kul i pęknięcie dum-dum.

— Linia tyralierska! Odległość pięć kroków! Biegiem. Marsz!

Pędzimy jak szaleni. Zapatrzeni w jeden punkt, który się wyraźnie rysował w oddali. Tam! tam okopy nasze! Byle tam dopaść! Tam cel!

— Padnij!

Jak kłosa podcięte, wał się ciała żołnierzy.

— Biegiem!

Dopadliśmy. Już u celu! Już w swoim żywiole.

— Celownik 1000.

Różowa jutrenka zabłysła w dali. Robiło się coraz widniej. Widać było już wyraźnie okopy nieprzyjacielskie.

— Wolno palić!

— Słuchaj Antek daj mi papierosa.

— Masz!

— Wiesz tak mi ten papieros smakuje, jakbym go palił już ostatni raz. Złe mam na dziś przeczucia.

— Idź do dyabła! Nie zwracaj głowy!

— Antoś, a jeśli by mię tak zabili to pamiętaj o liście, który mam w prawej kieszeni. Pozdrów Stefę.

— Pójdiesz ty! Małpa! Zabijają, zabijają! Głupi!

Strzelanina zaczęła się na dobre. Koło nas przełatują kule, słychać wyraźnie ich brzęczenie.

— Jezus Maryja!

Oglądam się. Co? Mój przyjaciel padł. Nachyliłem się. Jego wargi zbielełe szeptały:

— Boli... pozdrów Stefę. Matus! Matus... Matusko

dobrze nam będzie, ojczym już nie pije. Rok lepszy się zapowiada. Tak Matusieńko dobrze nam będzie. I ja będę szczęśliwy. Stefus moja co? jesteś koło mnie co? gładzisz me włosy. Matuś, Stefus siadaj tu! Daj mi swoje bielutkie rączka. Daj ot tak, dobrze. Tak mi dobrze! Oj! ojoj. Boli. Jezus Marya! Uniwerek! Ja sę chcę uczyć! Stefus! Matuchno!

Krew puściła się ustami. Twarz strasznie się wykrzywiła. Odwróciłem głowę, bo nie mogłem patrzeć na te cierpienia. Skonał.

I padł mój przyjaciel, przed którym nie miałem tajemnic. Padł ukochaniec rodziców, braci i Stely. Ciało zabraliśmy.

Dół wykopano, wrzucono go. Trzykrotna salwa i śpiewka:

Spij kolego w twardym grobie,
Zobaczysz się jutro może.

zegnała go.

Spij kolego!

A ty Stefo przyjmij jego ostatnie pozdrowienia. Przed śmiercią ostatnie imię i ostatnie wspomnienie było zwrócone do ciebie dziewucho.

Ryks.

Romantyka Dardaneli.

Dardanele, o które toczyło się wiele walk, są także otoczone czarem romantyki. Hero i Leander są bohaterami podania, opromienionego blaskiem poezji. Starożytni Grecy uważali ich za osoby historyczne, a „Badekei“ hellenizmu, podróżnik Pauzaniusz, opowiada, że widział w pewnej wieży lampkę, która nie-szczęśliwemu Leandrowi wskazywała przez fale drogę do ukochanej. Z daleka pozdrawiają nas wykopane ruiny miasta Troji, która przypomina świetne czasy „greckiego średniowiecza“ — jak nazwano za Edwardem Meyerem okres kwitnący kultury trojańsko-mykeńskiej — przypomina dzieje pokoleń, które tu w biegu stuleci wznosiły jedno miasto za drugim. Tu „cesarz podróżnik“ Hadrian zbudował sobie ulubioną wilę. Tu mieszkał Antinous, który potem jako ofiara dla szczęścia swego pana utonął w falach Nilu. Tu Schliemann, używając podstępnie wobec władz tureckich, zyskał „skarb Priamusa“ dla Berlina.

Blżej morza wznosi się „grób Achillesa“, opromieniony romantyczną poezją Byrona. Lord poeta nie był na nic więcej dumny, jak na to, że za przykładem Leandra przepłynął Dardanele w szerz. Dalej na południe widać na horyzoncie tylko za pomocą lunety rzekomy grób Hannibala. Kartagińczyk chciał przez Mithridatesa Wielkiego świat wschodni zmoblizować przeciwko Zachodowi. Było to doniosłe zdarzenie historyczne, że państwo rzymskie wówczas jeszcze było dosyć silne, aby ocalić grecką kulturę przed najeźdźcą barbarzyńców. Gdyby można dnu morskemu Dardanelów wydrzeć jego tajemnicę, znalazłoby tam szczątki ogromnej. przeszło 400 okrętów liczącej floty Araba Maslama, którą tu zniszczyli w r. 698 Byzantczycy za pomocą „ognia greckiego“. W Maslamie stracił islam jednego z najlepszych wodzów, którego szlachetne przymioty charakteru uznają historycy tak arabscy jak i chrześcijańscy. Za fortem Czanak Kale, na wzgórzu, z którego daleki widok na morze i kraj, znajduje się grób tunetańskiego korsarza Chaireddina Ilderim. Ten korsarz był bratem znanego z tunetańskiej

wyprawy niemieckiego cesarza Karola V księcia korsarzy Chaireddina Barbarossy, którego grób jest w Carogrodzie. Ilderim był założycielem państwa Tunis; jego czyny według badań Elzego dały Byronowi wzór dla wielu rysów „Don Juana“. Przypomina go też Byrona poemat „Korsarz“.

Dzisiejsze małe wioski dardanelskie tworzyły niegdyś wieniec miast kwitnących, które mongolski burzyciel Timur w r. 1403 obrócił w perzynę. Wśród pyramid z czaszek, które były jego trofeami zwycięstw, stał burzyciel, spoglądając z daleka na wybrzeża Europy, do której chciał odbyć najbliższą wyprawę. Ale lo: inaczej rozrządził. Powstanie w górnej Azji odwołało Timura na wschód, i tu w Samarkandzie zaskoczyła go śmierć, gdy przygotowywał wyprawę przeciwko Chinom. W nowszym czasie zapadła się także reszta kwitnących miast dardar elskich pod panowaniem baszów tureckich. Wszędzie było jak w ruinach wili Hadriana, gdzie według słów poety perskiego „sowa huczy w murach pałacu, a pajak strzeże wejścia do salonu cesarza“.

Teraz może granaty flot sprzymierzonych zburzą ostatnie resztki wielkiej romantycznej przeszłości.

Przez morze krwi — do pokoju.

Kuryer codzienny zamieszcza artykuł, który w skróceniu podajemy: Są pobożne życzenia, które nigdy nie mogą liczyć na swe zrealizowanie. Do takich życzeń należą rozprószone akcje pojedynczych grup społecznych i małych państw, jak również szczerze zamiary stolicy apostolskiej, dążące do skłonienia stron wojujących, aby broń złożyły i w pokoju honorowym szukały punktów stycznych i wyrównania różnic.

Nigdy jednak jeszcze idealistyczne pobudki i dążenia nie odgrywały mniejszej roli niż w obecnej wojnie europejskiej.

O wyrównaniu różnic, które wywołały wojnę europejską na drodze dyplomatycznych rokowań nie ma mowy, zanim nie zostaną wyczerpane wszelkie środki w ludziach i materiale, jakimi rozporządzają obie grupy państw wojujących.

Dlatego też uchwały zgromadzeń pacyfistów holenderskich lub amerykańskich i akcje ich w celu skłonienia wojujących rządów do wdrożenia kroków pokojowych są idealizmem dziecinny, nie liczącym się z potęgą faktów.

Wojna europejska rozwiąże więcej problemów społecznych, państwowych i narodowościowych, ekonomicznych i politycznych niż wszystkie wojny poprzednie.

Rzecz okropna, iż tak stanie się dopiero wówczas, kiedy morze krwi zostanie wylane — ale inaczej być nie może. Łała się krew narodów, które rozdzielano, płonęły wsie i miasta, kiedy formowały się dzisiejsze organizmy państwowe, ginęły na szubienicach i w więzieniach tysiące walecznych, którzy bronili swoich pieleszy domowych, zanim wróg ochrzcił je innymi imionami i począł ich mieszkańców wynaradawiać — zatem musi się łać krew, muszą płonąć wsie i miasta, muszą ginąć całe armie, kiedy z gruzów popiołów i tej krwi wylanej mają uformować się nowe całości państwowe, hołdujące wyższej sprawiedliwości i mające przeprowadzić rozdział lepszy i słusniejszy praw narodowych.



Polska kuchnia we Wiedniu.

Straty Legionów.

Lista strat Legionistów polskich Nr. 9, wydana 10. lutego b. r. zawiera następujące nazwiska:

Zabici: Kapral Karczewski Mieczysław, 2 p., 13 kompania; legionista Kociotek Błażej, 3 p., 3 kompania; kapral Kowalski St., 1 komp.; legionista Łukaszczyk Franciszek, 3 p., 1 komp.; plutonowy Schmeidl Romuald, 2 p., 16 komp.; porucznik Węglowski Florian, 2 p., 16 komp.

Ranni: legionista Adamski Jacenty, 3. p. 11 komp.; kapral Bartkiewicz N., oddział kolejowy, w niewoli; kapral Bytomski Ludwik, 3 p., 1 komp.; legionista Ciszek Michał, 3 p., 1 komp.; legionista Curyło Jan, 12 komp.; legionista Czekał Jan, 3 p., 12 komp.; chorąży Cwiertniak Józef, 3 p. 12 komp.; legionista Dobija Józef, 3 p., 12 komp.; legionista Fladro Karol, 3 p., 3 komp.; legionista Gućowa Piotr, 3 p., 15 komp.; legionista Jamroz Józef, 2 p., 14 komp.; legionista Kapusta Wincenty, 2 p., 13 komp.; zginął legionista Klubek Piotr, 3 p., 3 komp.; kapral Kozaczka Władysław 2 p., 16 komp.; podporucznik Kwieciński Ludwik, 3 p., 3 komp. w niewoli; legionista Kwit Józef, 3 p., 3 komp.; legionista Leśniak Jakób, 2 p., 13 komp. zginął; legionista Liput Bronisław, 2 p., 13 komp. zginął; legionista Marczewski Władysław, 2 p., 16 komp.; frajter Molek Jan, 3 p., 1 komp.; legionista Mozer Janas, 3 p. 11 komp.; legionista Olech Bronisław, 3 p. 11 komp.; frajter Olewier N., oddział kolejowy, zginął; legionista Papierzyński Mik., 3 p., 3

komp.; legionista Rydzik Jan, 2 p., 13 komp., zginął; legionista Stalski Władysław, 3 p., 1 komp.; legionista Treboń Andrzej, 3 p., 1 komp.; podporucznik Wojtecki N., 3 p., 11 komp.; legionista Woś Marcin, 3 p., 3 komp.; legionista Ziółko Andrzej, 2 p., 16 komp.

W niewoli: chorąży Pawlikiewicz Roman, 5 p., oddział telef.; legionista Sińczak Jan, 3 p., 3 komp.; plutonowy Skowroński Aleksander, 3 p. komp. sztab. i kapral Zawadowski Zygmunt, 3 p., komp. sztab.

Wyzwoleni z pod knuta.

(Oryginalna korespondencja Przeglądu Tygodniowego).

Zaludniły się miasteczka styryjskie — Bruck a d Mur i Müzzuschlag.

Zaroily się setkami młodzieży, mężczyzn w średnim wieku, a nawet gdzieniegdzie zajaśniał srebrny włos.

Szli szeregiem ułożonym, szli do koszar — nowi żołnierze — zwolnieni z pod panowania knuta i nahajki!

Wiadomo, że nasze wojska od 24 lutego do 4 marca były w Stanisławowie. Ludność jęcząca pod tyrańskimi rządami Moskali — odetchnęła! Radość nie miała granic!

W walkach ulicznych z Moskalami — sama ludność udział brała.

Stąd nie dziw, że kiedy przed przeważającą większością wrogów, wojska nasze zmuszone były się cofnąć, że i ludność w panicznym lęku uciekała.

Byle ratować swe życie, byle powtórnie nie wpaść w ręce wrogów.

90 procent ludności uciekło do Kołomyi — gdzie odbył się asenterunek.

Ochotnie wszyscy wstępują w szeregi!

Zbliżam się do kilku wieśniaków. Twarze zmęczone, wryte na nich przeżyte cierpienia i męki.

— Wy wiele macie lat? — pytam jednego.

— Trzydzieści sześć — odpowiada, zdejmując czapkę.

Patrę i wierzyć nie mogę. Siwe włosy — zupełnie osiwały.

— Dziwicie się panie — zagaduje mię wieśniak. — To oni. M skale przekłęci! Cały dobytek zrabowali, córkę zhańbili, żony nie oszczędzili! A człek bezsilny wobec tych zbrodni!

Zamigotały mu naraz oczy jasnym blaskiem. Biła z nich tężyzna — polskiego chłopca!

— Ale się zemszczę! Z ochotą idę do wojska! Pokażemy im, co umie polski chłop!

Dusza się we mnie raduje, gdy słyszę te słowa! Gdzieś w głębi mego serca, drga echo:

Hej, ostre kosy nasze...

Jakiś starszy żyd, opowiada mi tragedję swoją. Zgubił gdzieś po drodze żonę. W zgiełku uciekali. Dopiero w Kołomyi zauważył brak żony. Tam go pozwali do wojska! Jednak zapomni o wszystkim. Spełni swoje zadanie.

I młodzieńcy również są pełni zapału! Wyzwoleni z pod knuta — teraz chcą mścić swoje krzywdy...

Całe miasto roi się od nowych tych rekrutów.

Oczy im płoną, dusze kąpią się w pragnieniu zemsty, a dłonie same wołają o broń, dla spełnienia wielkich, epokowych czynów.

To są nowi rekruci — wyzwoleni z pod jarzma.

Wieści z wygnania.

Ołomuniec. Z inicjatywy p. generałowej Rozwadowskiej otwarto dla polskich uchodźców galicyjskich dnia 21. lutego br. kuchnię polską.

Pomimo tak późnego stosunkowo założenia rozwija się nadspodziewanie. Obiadów wydaje się dziennie około 80. Płatne kosztowały dotąd po 1 kor. 10 h.

Do 30 marca wydano 420 obiadów bezpłatnych dla niezamożnych uchodźców, kosza pokryto z duków

od osób prywatnych, bądź od komitetu ratunkowego dla tutejszych uchodźców, który popierając działalność kuchni, dostarcza funduszy na obiady dla głodnych a niezamożnych.

Na ten cel obraca się też dochody z różnych przedsięwzięć dobroczyńnych.

Utworzone ad hoc kółko miłośników sceny odegrało 28. lutego melodramat Błotnickiego p. t.: Zagroda Sobkowa. Niezwykłą grą wybiła się na pierwsze miejsce p. Koellerowa w roli Marty; z niemniejszym artystycznym odegrała panna Bocheńska Heleię. Również p. Czachurski odtworzył rolę Kuby — jak uzdolniony zawodowy aktor.

Zresztą prawie wszyscy amatorzy, z których większość pierwszy raz występowała na scenie, swą grą pozyskali uznanie miejscowej prasy czeskiej. Orkiestrą kierował umiejętnie p. Błoński. Prócz tej moralnej korzyści grających, osiągnęła kuchnia korzyść materialną w kwocie 335 kor. czystego dochodu.

Krótko mówiąc kuchnia zastępuje nam tu na obczyźnie nasz polski dom. Tu spotykamy się podczas obiadów; tu następuje wymiana polskiej myśli, tu czujemy się sobą i ludzimy się, że jest nam dobrze, chociaż w istocie jest nam źle, strasznie źle. Tego nikt nie zaprzeczy! Mieliśmy dach nad głową, byliśmy

zamożni, zagospodarowani, a teraz?; jesteśmy wyzuci niemal ze wszystkiego, a w naszych dawnych siedzibach czekają nas zgłiszcza lub w najlepszym wypadku puste cztery ściany.

Rozpacz zażarłaby nas, gdyby nie to, że za pozwoleniem tutejszej niemieckiej rady gminnej — zogniskowaliśmy się w naszej polskiej kuchni, kojąc nasze dusze zbolełe trapić nie okropnościami wojny.



Grupa amatorów teatryku w Ołomuńcu.

W ogólności tak Niemcy jak i Czesi tutejsi darzą nas na każdym kroku życzliwością, za co na tem miejscu wyrażamy im serdeczne podziękowanie.

Jastrzębiec.

Odpowiedzi Redakcyi.

Tad. Jel... Cieszyn. Zamieścimy w następnym numerze — ale prosimy na przyszłość zmienić motyw — ponieważ już druga nowelka o tej samej osnowie!